№ 22 13 SIERPNIA 1927

TREŚĆ:

CENA 30 GROSZY

PRZEŁOM

TYGODNIK · POLITYCZNY · ROK II

Mowa Marszałka Piłsudskiego

na Zjeździe Legjonistów w Kaliszu w dniu 7 sierpnia 1927 r.

Powyższą mowę Marszałka Piłsudskiego ze względu na jej niezmiernie znamienną treść podajemy w dosłownem brzmieniu; (podkreślenia redakcji).

„Kochani koledzy i towarzysze broni!

Zwyczajem naszym legjonowym jest, że rok rocznie zbieramy się z ważnej przyczyny. A zarazem zwyczajem jest, że jako były wasz Komendant, były wyobraziciel waszej pracy, muszę przemawiać. Ciężary są podzielone. Wy macie krzyk, a ja mam pracę, pracę mówienia.

Dziś kiedy myślałem, o czem mam przemawiać, przypomniałem sobie wszystko, com dotąd mówił na każdym ze zjazdów, szukając tematu dla dzisiejszego przemówienia i szukając o czem jeszcze z pomiędzy rzeczy, któreśmy przeżyli, mogę mówić bez powtarzania się ciągłego, bo przemawiam w 13-tą rocznicę wymarszu z Krakowa, w 13-tą rocznicę naszych urodzin. Jesteśmy więc już prawie podlotkami i mamy prawo mieć pamięć przeżyć.

Gdy nad tem myślałem, przyszło mi na myśl, żem niedostatecznie jeszcze w swych przemówieniach legjonowych podkreślił jedną wielką prawdę naszego istnienia i naszej pracy, wielką prawdę naszego życia. *Niema już żadnej wątpliwości co do faktu historycznego, który starałem się w poprzednich odczytach nieraz wyjaśnić, że wtedy, w r. 1914, kiedy wojna wybuchła na świecie i kiedy ludzie szli strumieniami i potokami przelewać krew dla takich czy innych celów, to między temi celami, o które ludzie swą krew przelewali, nie było celu polskiego. Nikt o Polskę, jako o Polskę, krwi przelewać nie chciał i nie dążył do tego w swych celach politycznych, aby dla Polski cokolwiekbądź stało się innego, prócz tego, co było i przed wojną.*

My, jako legjoniści, zrobiliśmy ten wstęp do możliwości przelania krwi za Polskę. Poszliśmy niewielką garstką ludzi z tą różnicą od wszystkich innych, że ten niewielki strumień krwi, któryśmy mogli przelać, chcieliśmy dać dla Polski. To nasza palma pierwszeństwa w pracy dla Ojczyzny naszej.

Mieliśmy więc tę palmę pierwszeństwa, przy której staraliśmy się pokazać naszym rodakom, że jest rzeczą rozumną i rozsądną przelewać krew dla siebie, nie dla kogo innego. Ta palma pierwszeństwa, którą my mamy, jest naszą cechą historyczną. Nieraz w poprzednich odczytach starałem się wyjaśnić, jakie wobec pierwszeństwa czynu są skutki dla tych, co idą naprzeciw—przynajmniej dla nich. Jak przebywać drogę jest trudno i jak trudno jest zrobić rzecz nową, która nie istniała poprzednio.

Przy tej palmie pierwszeństwa jednak spotkaliśmy natychmiast także zjawiska inne. Spokojnie nazwę je *agenturami obcemi.* Z natury rzeczy, jako były naczelny wódz, który prowadził wojnę, wiem, co znaczy agentura i wiem, jaki jest mechanizm jej pracy. Z natury rzeczy do takiej pracy musiałem stanąć — do takiej pracy, jako obserwacji i jako pewnej próby skłonienia do takich czy innych zmian, któreby były potrzebne dla interesów armji i celów politycznych tego czy innego państwa. Nie dziwię się więc wcale, że do nas agentury się przyczepiły, i że szliśmy krok w krok, mając obok siebie płatne agentury obcego państwa, robiące na naszych plecach interesy, (gdyż innych agentur świat nie posiada), agentury, które muszą nas obserwować i muszą iść krok w krok z nami w naszej pracy.

Mieliśmy naturalnie agenturę obcą, jako agenturę jednego z państw zaborczych. *Praca zaś nasza, gdyśmy szli przelewać krew za Polskę, nie mogła nie przeczyć w różnym stopniu prawom państw zaborczych, któreby chciały, aby przelewano krew tylko za nie, a nie za Polskę, gdyż na całym świecie nikt za Polskę nie przelewał krwi i nikt celów polskich na początku wojny nie stawiał i stawiać nie chciał. Wobec tego agentury musiały istnieć w sprzeczności z naszemi dążeniami.* Musiały szukać interesów zaborczych, aby nas przemocą zatrzymać i usunąć od wielkości, dlatego jedynie, aby wielkość krwi, przelanej za Polskę, nie była za wielka dla interesów zaborczych.

Stąd płynie to ciągłe szukanie ze strony zaborcy i ze strony jego agentury odebrania nam tych cech, któreby nas charakteryzowały, jako przelewających krew jedynie za Polskę, a nie za co innego. Wobec tego, że liczba nas, jako przełamujących drogi, była względnie mała, że zatem ogół naszych rodaków nie szedł za nami w pracy, agentura była ułatwiona. Niema dla mnie dwóch zdań, że pracę agentury płatnej, robionej dla celów państwa obcego, zaborczego, nie dla Polski, czyniły za mnie pewne czynniki, które starały się, że tak powiem, usunąć nas od praw tych, do których dążyliśmy. Starano się nas zapaskudzić, abyśmy bohaterstwem dla innych nie byli.

Porównuję to do działania muchy, która, jak wiadomo, pstrzy, dając czarne i brunatne kolory. Tak, że nieco to wyglądało jak czarno-żółte plamy na naszych mundurach. Przypominam sobie te usilne starania, które czyniono w stosunku do nas, czy to, abyśmy wyglądali, jak landszturmiści, otoczeni czarno-żółtą opaską, czy to, aby spróbować nam zrobić tę czy inną przykrość, jak ze sprawą sztandaru z jedno — czy dwugłowym orłem, czy to przez próby, czynione stale i ustawicznie, abyśmy podlegali austrjackiemu mundurowi.

Takie były prace agentur austrjackich, idących obok nas i starających się nas stale obniżyć. W parze z nią szła agentura inna, agentura rosyjska, t. j. tego państwa, z którem austrjacy i my walczyliśmy. Szła w tym samym kierunku, także płatna i świadoma, również dążąca do obniżenia naszej pracy i do zapaskudzenia nas czy słowem, czy określeniem, czy czemkolwiek, abyśmy dla naszych rodaków nie byli pociągającymi, abyśmy nie byli wzorem dla współrodaków. Jeżeli wezmę te rzeczy tak, jak one w moich pracach i dowodzeniach wyglądają, to śmiało i spokojnie stwierdzam, że obok nas szła jedna i druga agentura, służąca zaborcom, która powodowała obniżenie naszych wartości i naszych prac, które czyniły nie to, cośmy chcieli, lecz narzucały nam te myśli, które były pożądane dla zaborców.

Jeżeli wezmę przeżycia moje, jako dowódcy waszego, zmuszonego nieraz pertraktować z dowódcami i targować się o wasze wygody, o wasze życie i wszystko, co się tyczyło codziennego życia wojennego, czy to z tymi, czy z innymi panami, czy też sztabem, z którym trzeba było się targować, to muszę mieć większe doświadczenie i większy wgląd do tego, co się za tem kryło.

Moi Panowie! Zupełnie pewnie stwierdzam, że najbardziej ze zrozumieniem naszej sytuacji odnosili się do nas ci, którzy nigdy polskiego słowa nie umieli wymówić, to znaczy, że najwygodniej nam było z dowódcami korpusów czy dywizyj, którzy nie słyszeli polskiego języka, którzy mieli narzecza węgierskie, rumuńskie, narzecza niemieckie jako swój stały język codzienny. Tam nam było najlepiej. Tam najprędzej spotykałem ludzi, którzy weszli w naszą sytuację, najwięcej udzielali rad, aby nie uledz zniszczeniu i znękaniu na śmierć, najwięcej obrony, a więc wśród najbardziej obcych nam ludzi, którzy starali się jedynie o siebie i potęgę swego państwa.

To jest zjawisko stałe i codzienne, z którem my idziemy rok za rokiem, idziemy dzień za dniem, jest to część naszego życia tak wielka i tak starannie w stosunku do nas ułożona, że nasza praca — że tak powiem — była współbieżna z pracą agentur obcych.

Jeżeli zaś wezmę, że przy tej palmie pierwszeństwa, którą my mamy w stosunku do prawa przelewania krwi tylko za Polskę, a nie za co innego, to znajdę zaraz i inną cechę, która bardzo nieśmiało i bardzo powoli zaczyna nam sekundować. Jest to „prawda Polski", którą spotykało się czy po wsiach, czy po dworach, czy w miasteczkach, gdyż mieliśmy to szczęście, w porównaniu z legjonami innemi z historji, z pieśni narodowych, że myśmy walczyli na terenach naszej ziemi, a ani razu zagranicę Rzeczypospolitej nie wyszliśmy. Mieliśmy więc stale otoczenie to, które i teraz w Polsce istnieje, tę samą polską ludność.

Jeżeli przypominam sobie swe wrażenia w ciągłych marszach i przemarszach przez najróżniejsze części Polski, wśród kwater, które trzeba ciągle zmieniać — jeżeli zestawię swoje wrażenia od roku 1914 do 1916 w którym nasze marsze się skończyły, to znajdę *zawsze rosnące, zawsze narastające prawdy, że coraz mniej byliśmy obcy dla swoich, coraz więcej zyskiwaliśmy sympatji i coraz więcej honorów.*

Szło to tak powoli, że ręczę, iż niejeden z was w nocy cichą łzę przelewał i cyniczniał zbyt szybko w swojem rozumieniu miłości Ojczyzny.

Nazywano was ongiś żołnierzami bez Ojczyzny, trawestując prawdę Żeromskiego o dawnych legjonistach, których nazywał żołnierzami - tułaczami. I gdy sobie przypomnę narastające rozumowania, z któremi się spotykałem, narastające prawdy, które wówczas nam mówiono, narastające szepty (gdyż ludzie się bali), które nam w uszy szeptano, to znajdę zawsze skromność polską, która bała się wypowiedzieć wszystkich mocniejszych słów, wszystkiego, prócz łzy, prócz cichego rozczulenia przy spotkaniu się z obrazkiem, który się znało i na który się patrzyło, zakrywając jednak książeczkę ze strachu. Mundury nasze nieco przypominały takie obrazki, specjalnie rabat ułański, wysokie czako przypominało to, co było, to, o czem się śniło, o czem się bardzo szeptało. Gdy przebiegnę te dwa lata, koniec roku 1914, 1915 i 1916, ostatnie legjonowe boje na Wołyniu, to znajdę wzrastającą bardzo powoli prawdę, otaczającą nas niby nimbem bohaterstwa,

---

Janusz Rakowski 3

Podstawy faszystowskiego ustroju socjalnego i gospodarczego

III

Zorganizowanie syndykatów na zasadzie odrębności interesów zawodowo-gospodarczych przy jednoczesnem wysunięciu hasła współdziałania wszystkich klas dla dobra produkcji narodowej — musiało w konsekwencji prowadzić do powołania obok syndykatów odrębnych zrzeszeń, mogących koordynować ich działalność.

Kładąc zręby nowego ustroju, faszyści zdawali sobie sprawę, że, pomimo zapewnienia państwu decydującego wpływu na charakter prac i władze naczelne syndykatów, wymarzony ideał współdziałania wszystkich czynników produkcyjnych mógłby się stać fikcją, wobec niewątpliwie istniejącego w poszczególnych warstwach społecznych nastawienia w kierunku obrony własnych interesów gospodarczych. Należało przeto zmusić poszczególne syndykaty do działań zgodnych z ideałami państwa faszystowskiego i wzmocnić ustrój syndykalny organami, w których ramach uzgadnianie sprzecznych interesów syndykatów i wspólna troska o rozwój produkcji stałyby się rzeczą możliwą.

Zadanie to spełnić mają *korporacje*, a w pewnej mierze i *sądy pracy.*

Jeśli syndykaty są przedstawicielstwem albo pracodawców albo pracowników, to „korporacje stanowią jednolitą organizację czynników, biorących udział w produkcji, i reprezentują całokształt jej interesów" (Art. 6—Carta del Lavoro). Korporacje są więc organami, łączącemi pod wspólnym, wyższym zarządem *autonomiczne* stowarzyszenia syndykalne pracodawców, pracowników, artystów i przedstawicieli wolnych zawodów. Te organizacje łączności mogą powstawać w miarę potrzeby i rozrostu kadr syndykalnych w poszczególnych dziedzinach życia gospodarczego, w określonej gałęzi produkcji albo też dla jednej lub wielu określonych kategoryj przedsiębiorstw.

Skoro więc organizacja syndykatów biegnie w kierunku pionowym, to *korporacje stanowią poziomą organizację sił wytwórczych*, łączącą współrzędne związki pracodawców i pracowników na różnych stopniach ustroju syndykalnego, posiadającą u swego szczytu *Ministerstwo Korporacyj*, jako naczelny państwowy organ kierowniczy.

Korporacje nie posiadają osobowości prawnej, ale *stanowią organy administracji państwowej.* Powstają one na podstawie odrębnego dla każdej korporacji dekretu Ministra Korporacyj, który to dekret określa każdorazowo ich atrybucje i ustanawia organizację. Przewodniczący i dyrektorowie organów korporacyjnych są mianowani i odwoływani przez rozporządzenie Ministra. Przy każdej korporacji funkcjonuje *Rada*, złożona z delegatów stowarzyszeń, które dana korporacja obejmuje. U szczytu, przy Ministerstwie Korporacyj, którego kierownictwo objął sam twórca nowego systemu — Benito Mussolini, tworzy się obecnie Wielka *Narodowa Rada Korporacyjna*, w której skład wchodzą przedstawiciele ministerstw, konfede-

nimbem szaleństwa, piękności jakiejś, nad którą łzy wylewać trzeba, że widzieć ją jeszcze można.

Mamy więc dwa zjawiska bardzo jaskrawe, z któremi po dziś dzień, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku idziemy, mając obok agentury obce, starające się nas stale obniżyć, nieco zapaskudzić i upstrzyć, stale uczynić z nami tak, abyśmy wzorem dla innych nie byli. My idziemy, mając tę palmę pierwszeństwa przelanej krwi za Polskę — jedynie jako odludki i nieco „upstrzeni" ludzie.

Obok zaś widzimy wzrastającą, sentymentalną, lecz bardzo bezsilną prawdę bohaterstwa nieco nierozumianego. Ot — pierwiosnek, który zawcześnie z pod śniegu wyrósł, po to, by paść martwym w nocy. Byliśmy jak jacyś opóźnieni wędrowcy z dawnych czasów — jak mary, wyciągnięte z przeszłości, przypominające marzycieli, jak owi „niezłomni rycerze".

Takie były te dwa lata przeżyć najcięższych, które najciężej wspominam. Agentura obca i płatna, szukająca obniżenia naszej pracy i z drugiej strony bardzo niejasne i bardzo nieliczne prawdy współczucia dla naszej pracy.

Jeżeli wezmę następne czasy, to żyjemy wówczas już w okresie, gdy nagle zaczyna się sprawa polska, gdy po raz pierwszy ludzie zaczynają się sprawą polską zajmować, jako rzeczą, o której dawniej mówić nie chciano. A dzieje się to nie dla czego innego, jak dlatego, że państwa, które rzuciły w grę miljony istnień i miljardy złota na szalę wypadków, zatrzymały się w jakiejś dziwnej równowadze sił bez możliwości wyjścia poza tę równowagę. Jest to koniec roku 1916—17. Idą te chwile, gdy zwycięstwo się chwieje, gdy wrażenie ogólne nie daje możliwości światu wiary w szybkie zwycięstwo jednej strony walczącej nad drugą, gdy poszukiwano jakiegokolwiek ciężarka, któryby rzucony na szalę, chociażby zaczął ją przechylać na tę czy inną stronę, gdy w gabinetach i w dowództwach zaczynają szukać gwałtownie tego ciężarka po dwóch latach pracy wojennej. Wylano już olbrzymie morze krwi i świat podzielono na to, co jest po jednej stronie drutu kolczastego i po drugiej stronie drutu, wciągnięto w grę świat cały i ciągle szukano ciężarka, któryby mógł przechylić szalę na stronę zwycięstwa. W poszukiwaniach tych poszukiwano i Polski.

Moi Panowie! Nie dziwię się, że państwa zaborcze tej kwestji nie chciały dotykać. Długo męczono się nad formułami, nad wymyśleniem takiego jakiegoś znaku na ziemi i na niebie, żeby Polska była i nie była, żeby można było po najtańszej cenie wykupić się z potrzeby poszukiwania tego „najmniejszego ciężarka".

Między innemi ciężarkami, które wyciągano z lamusa przeszłości, rzucono się, jak powiadam, i do sprawy polskiej. W ten sposób odtąd, w r. 1916 zaczyna sprawa polska narastać, zaczyna być czemś, co ma cenę, o czem warto mówić; to, co stanowi Polskę, i to, co stanowi polską siłę, zaczyna być wartością dla innych. Zarazem jednak zaczyna się nad nami zwycięstwo absolutne agentur. Nie dla czego innego to zwycięstwo agentury nadchodzi, jak dlatego, żeśmy niedostateczne przez te dwa lata zyskali poparcie i siły ze strony naszego otoczenia, tak, że nad nami bardzo łatwo można było przejść do porządku dziennego. Wtedy jednak agentury wszystkich trzech stron, gdy tylko Polska uzyskała wartość, poczuły żer, poczuły możliwość posiadania atutu Polski w swem ręku tak, by każdy z tych narodów, który płacił, był z nich zadowolony. Oddać im w ręce tych, którzy mieli za sobą sławę dobrych żołnierzy i — cicho mówiąc — „warjatów"! Jakże w ręce warjatów oddać losy narody, przecież to jest rzeczą niemożliwą! To jest pierwsze jakby hasło, rzucone na naszą pracę, gdy tylko ważka polska zaczęła przechodzić z rąk do rąk, z papieru na papier, gdy między komendami najrozmaitszych narodów krążyć zaczęły projekty, związane z wartością Polski.

Gdy w tych papierach zaczęto mówić o możliwości robienia coś z Polską, od tej chwili zaczęliśmy spotykać już nie obserwację agentur, ale walkę otwartą z nami. Nie chcę twierdzić, żeby nie walczyły także z sobą. Różne drogi jednak nie przeszkodziły wcale połączeniu wszystkich agentur, w charakterze reprezentacyj mocarstw, walczących między sobą. Były zupełnie jednozgodne z tym celem, były najzupełniej jednozgodne w pracy obniżenia, albo przełamania nas o tyle, by dać prawdę swej agenturze.

Jestem w tem szczęśliwem położeniu, że jestem w posiadaniu najrozmaitszych papierów, które jeszcze nie ujrzały światła dziennego, które krążyły między dowództwami, między państwami. Twierdzę tedy, że od r. 1914 zaczyna się prawda o Polsce podwyższać i że to szukanie ważek na szalę rzucanych zaczyna odgrywać rolę w pomysłach wielkich mężów stanu i wielkich generałów, dowodzących wojskami stron walczących.

---

racyj narodowych pracowników i pracodawców, oraz 3-ch organizacyj społecznych i wychowawczych i organizacji opieki nad robotnikami w godzinach wolnych (Dopolavoro), organizacji młodzieży faszystowskiej (Balilla) i organizacji opieki nad matką i dzieckiem.

Według art. 44-go rozporządzenia wykonawczego z dn. 1-VII-26 r., uzupełniającego ustawę o organizacji zbiorowych stosunków pracy, do zadań poszczególnych korporacyj należą:

a) zażegnywanie sporów między syndykatami, objętemi przez daną korporację, i wydawanie norm ogólnych, regulujących warunki pracy;

b) troska o rozwój i lepszą organizację danej gałęzi produkcji;

d) normowanie spraw, związanych z wyszkoleniem zawodowem, i wydawanie odnośnych przepisów.

Jak z powyższego widać, uprawnienia i kompetencje organów korporacyjnych są bardzo obszerne. W chwili obecnej są one jednak tak ogólnikowo formułowane w ustawach, że trudno jest przewidzieć, w jaki sposób zadania swoje będą korporacje wykonywały w praktyce i czy wogóle będą one zdolne wywiązać się ze swych zadań.

Do uprawnień organów korporacyjnych nie należy w zasadzie rozstrzyganie sporów między stronami. „Uzgadniają" one interesy pracowników i pracodawców w drodze *wydawania ogólnych norm, dotyczących warunków pracy i płacy* jedynie w tym wypadku, gdy otrzymają odpowiednie upoważnienie związanych w korporacji stowarzyszeń (art. 56 rozporządzenia). Z tego wynika, że korporacje posiadają jedynie *władzę rozjemczą* w sporach między autonomicznemi syndykatami pracodawców i pracowników *na podstawie dobrowolnej zgody obu spierających się stron.*

Jeżeli syndykaty zgody takiej nie udzielą, a obowiązkowa próba pojednania, podjęta przez zainteresowany organ korporacyjny nie osiągnie celu — wtedy spór oddany zostaje pod rozstrzygnięcie *Sądu Pracy*. Sądem Pracy jest państwowy sąd apelacyjny (jest ich w Italji 16), urzędujący w osobnej sekcji w składzie 3 sędziów, którym dodaje się jeszcze dwóch obywateli, biegłych w zagadnieniach produkcji i pracy i desygnowanych przez pierwszego prezesa sądu apelacyjnego.

Sąd Pracy więc nietylko orzeka o prawach i obowiązkach, wynikających ze stosunków pracy, ale i może tworzyć prawo pod postacią orzeczeń, określających nowe warunki płacy i pracy, orzeczeń, równoznacznych z umową zbiorową. Oczywiście ma to miejsce jedynie w tym wypadku, gdy postępowanie polubowne między syndykatami, prowadzone bezpośrednio lub przy obowiązkowej interwencji zainteresowanego organu korporacyjnego — nie osiągnęło skutku, a sprawa została skierowana do sądu.

W sprawach, dotyczących ustalenia nowych warunków pracy, *sąd orzeka według słuszności*, uzgadniając interesy pracodawców i pracowników i *przestrzegając w każdym wypadku wyższych interesów produkcji* (Ustawa z dnia 3.IV.26 r. art. 16). d. n.

Do palmy pierwszeństwa przyłącza się wtedy *palma męczeństwa*, gdyż niema wątpliwości, że nasza prawda, którą przeciwstawiliśmy prawdzie agenturnej, dała w rezultacie absolutne zwycięstwo agentury. Zostaliśmy w tem starciu z agenturą pobici i święcimy dziś 10-ciolecie Szczypiorny, 10-ciolecie Magdeburga, 10-ciolecie tych czy innych „wychodków" świata i więzień, do których nas rozsyłano, kończąc w ten sposób życie Legjonów, które wspominamy, jako życie wojenne.

Są to lata, w których sprawa polska w ten czy inny sposób się wysuwa, staje się rzeczą rachunku, liczenia, kalkulacyj mylnych czy nie mylnych, wszystko jedno, lecz kalkulacyj, których przedtem nie czyniono. Wytłumaczyłem powody i przyczyny, dlaczego tych kalkulacyj dokonywano. Z chwilą, gdy świat dochodził do równowagi, natrafił na polski ciężarek o 3 czy 4-ch łutach (nie wiem, jak go rachowano), którym mógł przechylić szalę na tę czy inną stronę. Spotykamy wtedy świat agentury, przeciwko nam idący całą parą i czyniący nam nietylko już upstrzenia w ten czy inny sposób, ażebyśmy pachnęli odchodami, lecz świat agentury, odnoszący zwycięstwo. Pod tym względem — powtarzam — niema różnicy między światem agentur po tej czy po tamtej stronie drutów. Świat agentur szedł drogą zupełnie jednolitą, jednostronną, gdyż nieraz zaborcy względem Polski byli jednem i tem samem, a kierowali się myślą: jeżeli trzeba, żeby coś z Polski było, niech to będzie jak najmniej poważne i znaczne.

Panowie! W całem naszem legjonowem przeżyciu mamy palmę męczeństwa i pierwszeństwa, daną nam w okresie, gdy nikt o Polsce nie chciał myśleć. Palma męczeństwa przychodzi właśnie wtedy, gdy zaczynają myśleć o Polsce na świecie, gdy Polska staje się wartością, która ma jakąś cenę. Ja, jako reprezentant ówczesny Legjonów, powędrowałem w świat do niemieckich więzień, a wielu z was powędrowało do mniej wygodnych ubikacyj, gdyż ja byłem zawsze generałem i mnie nie chciano zbyt wielkich przykrości robić, wtedy, kiedy was czekały gorsze rzeczy, jak Szczypiorna i inne. Mnie absolutnie izolowano tylko od świata, abym nie mógł wywrzeć żadnego wpływu na nikogo.

Sprawa Polski tymczasem urastała coraz bardziej, wyrastała nie powiem, żeby przez nas, przez Polaków, bo nie robiliśmy żadnych usiłowań, a przy tych powodziach krwi, którą wylano wówczas na świecie — strumyczek krwi polskiej był znikomo mały.

Idzie znowu koniec roku 1917 i cały rok 1918. Każdy z was żywo pamięta, jak sprawa polska szybkiemi podskokami idzie naprzód, ile pod tym względem papieru zapisano wtenczas o sprawie Polski między wszystkiemi walczącemi gabinetami? To jest w porównaniu z rokiem 1914 i 1915 przerażające, jak dużo projektów podano, jak zrobić Polskę tak, żeby jej nie było, i ile najróżnorodniejszych usiłowań uczyniono, aby tak postąpić. To przekracza nawet rozmiary wcale przyzwoitej bibljoteki. Pisano i próbowano najrozmaitszych sposobów. Polska zaczyna być modną, zaczyna być kwestją nawet już dokuczliwą, gdyż trzeba koniecznie zajmować wobec niej stanowisko i trzeba to stanowisko koniecznie określić na całym Bożym świecie, skoro się za Polskę leje krew nietylko już polska. Polska narasta już jako pewnik, jako coś, co przychodzi, jako coś, co nadejdzie w tej czy w innej postaci i do pracy państw ma prawo.

Było to bardzo wygodne, by w pracy tej pomagała temu czy innemu państwu agentura. Agentura bowiem polega na tem, że jeżeli kto płaci, to służby za zapłatę wymaga.

Gdy w roku 1918 po przyjeździe z Magdeburga stanąłem do pracy państwowej polskiej i gdy w tym samym mundurze, w którym tu przemawiam, reprezentowałem Polskę, miałem wtedy wgląd w sprawy świata nieco większy, niż poprzednio. I mogę zapewnić, że agentury państw, które się o Polskę targowały i o Polskę układały według własnej woli, miały głos znacznie silniejszy i pewniejszy, niż wszystko, co agenturą nie było.

Gdy w przyszłości historja będzie miała dostęp do archiwów tajnych poszczególnych państw, bo takie czasy zawsze nadchodzą, wejrzeć można będzie do dossier każdego z agentów, którego się określa ceną tego, co kosztuje; jak na giełdzie agenturowej, cena jego raz spada, raz się podnosi. Cena jest pewnikiem. Nikt nie chce płacić za drogo za złą pracę, jak i odwrotnie — państwa szukają sobie obniżenia ceny, stawiając coraz silniejsze żądania, aby w ten sposób cena spadła. W spisach tych wszystkich znajdziecie nazwiska wielu z waszych znajomych. Mówię, jako człowiek, który rządzi państwem, i jako człowiek, który wie, co to jest cena i jak się za te rzeczy płaci.

Gdy więc legjoniści zostali usunięci, jako czynnik, za pomocą brutalnego zwycięstwa i więzienia, cała sprawa polska trafiła do rąk agentury, złożonej z Polaków, która pracowała na rzecz państw różnych — nieraz odrazu na rzecz kilku państw, gdyż to w końcu wojny zaczęło być w modzie. Agent ten był ceniony, który potrafił pracować na rzecz kilku państw. Agenci tacy nawet dotychczas istnieją i stanowią dla mnie jeden z objektów śmiechu.

Świat doszedł do przekonania, że agenci ci nie mają żadnej wartości, a tymczasem wojna doprowadziła do tego, że w rozpędzie, w poszukiwaniu, w momencie osłabienia państw walczących płacono agentów szalonemi sumami, zaoszczędzając w ten sposób krew ludzką. Szukano dla zaszkodzenia walczącym państwom ich najsłabszej strony. Metodami tych, którzy płacą pieniędzmi obficie, jest szukanie błędów zwalczanego państwa i wskazywanie agenturze, aby uderzyła w to miejsce, gdzie boli, a gdzie dostępu niema ani bagnet, ani kula. Szukano rozkładu wewnętrznego państwa.

Znaczenie płatnych agentur jest najsilniejsze, bo godzi w najbardziej bolesne miejsce państw walczących. Rzucano dlatego olbrzymiemi sumami na przekupienie ludzi, jakichś dziennikarzy, jakichś panów, którzyby mogli szkodzić własnej ojczyźnie. Wyczuwano tempo zmęczenia ludzkiego tak, że otwierały się dla nich drogi te, które były dawniej zamknięte.

W r. 1918 — pamiętam ten czas, gdyż od tego czasu liczę swe najcięższe przeżycia — zacząłem pracować na państwo polskie, stając na jego czele. Dziki chaos, w który wpadłem po powrocie z Magdeburga, dziki chaos sądów, myśli, zdań, ugrupowań, dziki chaos, niemożliwy nawet do ułożenia w jakąkolwiek łamigłówkę, dzika rozbieżność — były tak wielkie i tak olbrzymie, że uważam to za jeden z cudów, że mogłem z tego chaosu wyprowadzić państwo na jakąś ścieżkę, gdyż wydawało mi się to niemożliwem.

My teraz skarżymy się na wielką ilość stronnictw, cóż dopiero było w owych czasach, gdy na stronnictwo składało się 4-ch czy 5-ciu ludzi, znajdujących się w jakiejś knajpie. Robiono stronnictwa, wyłączając innych nietylko od cnoty, ale robiąc z innych ludzi potworów zbrodni, i zapowiadając, że za żadne skarby, pieniądze i za żadne rzeczy w świecie nigdy razem obok pracować nie będą. Chaos słów był tak wielki, że gdyby nie moja mocna głowa, tobym doprawdy zwarjował od wysłuchania jednego dnia 50-ciu ludzi. Wszyscy byli przeświadczeni o swej wartości; nie poczuwając się do żadnej siły, żądali usłuchania recept zbawienia Polski, których sami nie byli pewni. Odstępowali łatwo od każdego wypowiedzianego słowa, za to bardzo zażarcie zwalczali sąsiadów.

Wiem, że wśród Panów znajdują się tacy, którzy mają dy mnie pretensję, że z nimi zamało obcowałem w czasie ostatniego zjazdu. Proszę Panów! Osądźcie sytuację człowieka, który przeżył rok 1918, który wtedy po 20 godzin dziennie rozmawiał z ludźmi, z jednym, z dwoma, z dziesięcioma, pięćdziesięcioma, nie mogąc żadnego człowieka z drugim pogodzić, nie mając zupełnie możności postawić jednego obok drugiego z zamiarem współpracy. Ludzie, wyklinający tak łatwo swych współpracowników, odsądzając ich od czci i wiary, tak swobodnie uniemożliwiali swym kłótnickim systemem pracę, że dość było przeżyć koniec r. 1918, aby zbrzydzić sobie rozmowę z Polakami, aby powiedzieć, że jest to niemożliwością rozmawiać z Polakiem. Zaliczam do cudów pracy swojej, że w tak dzikim chaosie

wybrnąć mogłem i postawiłem pierwszy krok Polski, jako państwa.

Całą moją pracą z tamtych czasów było doprowadzenie jakiejś narady z Polakami do końca. Męcząca to była praca, tak dalece męcząca, że potworzyłem całe mnóstwo pięknych słówek, które po mojej śmierci będą stawiane, jako dowód, że stawiałem tych, z którymi rozmawiałem, w jednym rzędzie z idjotami. Tak mnie wówczas zniechęcały rozmowy wspólnie z 10-cioma Polakami razem. Jakie to wtedy argumenty wytaczano, aby zaraz zapomnieć o wszystkiem, co mówiono, aby mówić co innego nazajutrz, jakie cudowne myśli wynajdywano, aby mnie o tem przekonać, że właściwie należałoby tego lub owego powiesić. Jak ciężko było wogóle dojść do jakiegokolwiek rozstrzygnięcia, aby pracować z nimi! Pamiętam moje decyzje, które powziąć wówczas musiałem.

Musiałem mianowicie szukać prawdy, dlaczego nasze legjonowe bohaterstwo i męczeństwo mogło być tak osamotnione. Za wiele było żądać od przeciętnego człowieka, aby był bohaterem. Myślałem, że teraz, gdy Polska jest państwem, może być wynagrodzi za męczeństwo, za bohaterstwo i kojącym plastrem zalepi rany, że państwo polskie, podobnie do innych państw, za bohaterstwo zapłaci, dając bohaterom laury na czoło, wystawiając ich naprzód, jako wzór. Myślałem, że wraz z materjalnie odrodzoną Polską i dusza polska odradzać się zacznie. Wyzbywać się zacznie tchórzostwa i wyzbywać się zacznie „prawd agentury", jako najrozumniejszych prawd Polski, prawd służby u obcych, jako najpewniejszej prawdy dla Polaka.

Gdy przyszła wojna i gdy Polska odrodziła się razem z wojną, wszystkim wiadomo, że dwa lata dłużej wojowaliśmy, aniżeli reszta świata, że musieliśmy wojnę przeciągnąć poza granicę 6-ciu lat. *Wtedy to wywnioskowałem, że naród polski jest zbyt jeszcze słaby, że z trudem zdobywa się na siłę samodzielną i dlatego łatwo służy obcym, dlatego nie widzi wstrętu do służenia obcemu, a nie sobie jedynie i że przez to jest mniej wartościowym w stosunku do innych narodów, które tego nie znoszą. Przeżycia moje, jako naczelnika państwa, w wielu rzeczach odskakują już od przeżyć moich, jako legjonisty. Nie wątpię bowiem, że legjoniści, trzymając palmę męczeństwa Polski, znaleźli bardzo wielu współtowarzyszy i współkolegów i bardzo wielu ludzi wspólnej pracy tak, że zaczęli tonąć w masie, która — zgodnie z mojem oczekiwaniem — wraz z państwem polskiem wyrastała. Uczucie ulgi nieraz stąd miałem w moich pracach, mowach, myślach, gdy jako naczelnik państwa i naczelny wódz przeżywałem i kalkulowałem sobie sprawy państwowe w stosunku do swoich zadań.*

Jeżeli jednak dotknę się prawdy „służenia obcemu", to ta prawda nie zmalała. Nigdy nie zapomnę wrażeń swych, jako naczelnik państwa, gdy nasz sztandar narodowy był kiedyś tylko śmieciuchem obok obcych. Widziałem starania, stale idące bezustanku w jednym i tym samym kierunku, aby obce agentury, szkodliwe dla państwa, były płatne. Szły one krok w krok obok mnie, jako naczelnika państwa, szukając utworzenia kilku rządów w Polsce, rządów, któreby stały przy mnie, stały poza mną. Widziałem uśmiechy reprezentantów państw, jakby chcieli powiedzieć mi, że moje zamiary potrafią zniszczyć, zepsuć. Nie przez kogo innego, jak przez polskie agentury widziałem się zmuszonym do ucieczki ze swojemi zamiarami, musiałem się chować, aby ich nie wydać na rószarpanie obcym. Uciekałem nieraz od swych najbliższych dlatego, by moja prawda i moje zamiary nie były wydane na prawo i na lewo, gdziekolwiekbądź cudzoziemcom. Agentów miały sztaby. Nigdy nie byłem pewien, że gdy piszę rozkaz, czy nie będzie on czytany w biurach wszystkich obcych państw. Nie byłem nigdy pewien, czy takie lub inne moje zamiary polityczne nie będą łupem agentur państw obcych, które działały z taką siłą i pewnością, że musiałem wyrzec się niejednokrotnie swego politycznego zamiaru. Jeżeli więc pod względem tej prawdy, która niegdyś szła koło nas, koło legjonistów, jako „sentymentalna prawda", poprawiliśmy się znacznie, to nie poprawiliśmy się pod względem siły agentur obcych, idących krok w krok w naszem państwie. Muszę Państwu powiedzieć, że przy kalkulacjach o zwycięstwo zadanie rozbijało się nie o co innego, jak o tę siłę agentur obcych, płatnych przez obcych dla szkodzenia Polsce, aby nie była zbyt silną, aby nie miała tej siły, jaką mogłaby mieć. Nieraz sobie myślałem, że tak wstrętnej prawdy żadne państwo w życiu swem nie miało i gdy szukałem w dziejach historycznych antecedencyj, znalazłem zawsze tylko momenty upadku Polski, gdy to ludzie dzielili się między sobą tylko tem pytaniem, komu państwo ma służyć: Katarzynie II-ej, czy „przyjacielowi Polski" Fryderykowi Wielkiemu, czy też Marji Teresie i innym rządom. Przypominam sobie jeden z faktów, który żywo stanął mi w oczach, gdy oglądałem pałac wybudowany przez księcia Sułkowskiego, jednego z najwięcej wykształconych i najlepiej wychowanych magnatów polskich (magnata, który mógł własnym kosztem wybudować ogromny pałac o 250 pokojach, a zatem sięgający do wielkości Watykanu i który mógł sobie na to pozwolić). Otóż magnat ten, który chciał majątek swój zostawić Komisji Edukacyjnej, nie czemu innemu, a więc dążył do kultury w Polsce, do jej podwyższenia, ten sam książę Sułkowski wymieniony jest w listach Katarzyny II-ej, jako pobierający rocznie 150 dukatów, jako jej sługa i pokorny wielbiciel—on, który w karty mógł przegrywać dziennie 150 dukatów bez uszczerbku dla swego majątku! — Ten właśnie obraz, który mi stanął w oczach pałacu Sułkowskich, przypomina mi niektóre rzeczy, podczas gdy byłem naczelnikiem państwa i naczelnym wodzem.

Tak wszystko wtedy wyglądało, jakby służba obcemu była uważana za najbardziej honorową, najbardziej zaszczytną, najbardziej narodową. Przypomniały mi się wtedy czasy początkowe Legjonów, gdy agentury obce były silniejsze, niż wszelkie prawdy polskie, gdyż służbę u obcych stawiano, jako rozum i mądrość stanu w Polsce. My, legjoniści, mający w przeżyciach historyczną palmę pierwszeństwa przelania krwi dla Polski, natychmiast zostaliśmy przez agentury wszystkich trzech zaborów opstrzeni i zapaskudzeni tak, by nasze bohaterstwo wyglądało jak najbiedniej, by przy pomocy naszej krwi nie było Polski. Przez dwa lata naszej pracy idą krok w krok obok nas te zjawiska. W następnych dwóch latach pracy, gdy państwo, zmęczone przez wojnę, zaczyna pokojową pracę, agentura idzie wziąć znów nad nami i nad naszą pracą zwycięstwo, jak w r. 1917, gdy rzuciła nas w więzienie i gdy dała nam w rękę palmę męczeństwa. *Gdy w Polsce już zaczyna się polepszenie stosunków, my, legjoniści, nie jesteśmy już wcale jedynymi Polakami, którzy za Polskę otwarcie krew leli i nie możemy brać na siebie przedstawicielstwa tej krwi, którą Polacy na polach bitew w szalonych wysiłkach przeleli w ciągu dwóch lat (1919—1920). Lecz zwycięstwa nad agenturą nie odnieśliśmy. Jak jakieś przekleństwo, bok w bok, krok w krok, idzie ona dalej, jako społeczeństwo silne.*

Moi Panowie, gdym wziął jako temat tę prawdę, wybrałem ją rozmyślnie nie dla czego innego, jak dla tego, aby pewną kropkę nad „i" postawić, aby nie było powiedziane, że my musimy menażować prawdy agentury. Polskę, być może, czekają i ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów — powtarzam — strzeżcie się agentur, idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym".

Bezhołowie dzisiejszego socjalizmu

Ze strony P. P. S. wielokrotnie stawiano t. zw. obozowi majowemu zarzut bezhołowia i braku programu. Ci, którzy występowali z tego rodzaju rekryminacjami, postępowali bardzo nieostrożnie, gdyż ich własny obóz przedstawia obraz największej dezorjentacji i niemocy politycznej, jaka tylko da się pomyśleć w sytuacji, wydającej się nadzwyczaj korzystną dla ideologji, która rzekomo odzwierciadla dążenia najszerszych mas pracujących. To też różni publicyści P. P. S., w rodzaju posła Niedziałkowskiego, raz po raz powtarzają piosnkę o niezmożonej potędze klasy robotniczej, stojącej jakoby za tymi panami, i o pewnym tryumfie socjalizmu w niedalekiej przyszłości.

Tymczasem rzeczywistość, badana objektywnie i bezstronnie, zadaje kłam w sposób jak najbardziej kategoryczny prorokom z redakcji „Robotnika". Zarówno, gdy chodzi o efektywną siłę poszczególnych partyj socjalistycznych w krajach, decydujących o polityce światowej, jak o zdolność tych partyj do realizacji programu socjalistycznego, doświadczenie ostatnich lat dziesięciu, licząc od rewolucji rosyjskiej r. 1917, ukazuje olbrzymię przewagę minusów. Sumaryczny przegląd najważniejszych wydarzeń, wchodzących tu w rachubę, nie pozostawia pod tym względem najmniejszej wątpliwości.

Wybuch wojny światowej i okoliczności, wśród których doszło do niego, ujawniły zupełną niemoc ideologji pacyfistycznej, którą socjalizm przedwojenny przejął, jako część składową własnej doktryny. Ani Międzynarodówka Socjalistyczna, ani Międzynarodówka Zawodowa nie próbowały nawet przeciwstawić się na serjo konfliktowi światowemu, owszem—uczucie narodowe i patrjotyczne w prawie wszystkich krajach wojujących okazało się silniejsze od nakazów teorji, głoszącej solidarność całego proletarjatu światowego. Nakazy kongresów Międzynarodówki okazały się tyle warte, co papier, na którym je wydrukowano. W ogromnej większości wypadków partje socjalistyczne nietylko nie stawiały oporu czynnego wojnie, czy w formie strajku generalnego, czy sabotażu mobilizacji, czy wreszcie powstania zbrojnego, ale nawet zsolidaryzowały się wyraźnie z akcją wojenną swych państw, głosując za kredytami wojennemi i popierając własne rządy w ich polityce, nieraz jaskrawo sprzecznej i fundamentalnemi hasłami socjalizmu. W rezultacie prawie wszystkie kraje, prowadzące wojnę, były widownią zaciętych sporów pomiędzy socjalistami, stojącymi na gruncie obrony kraju, a ich przeciwnikami mniej lub więcej skrajnymi.

Rosyjska rewolucja marcowa r. 1917 zdawała się być jutrzenką zmiany zasadniczej na korzyść socjalizmu. Upadek caratu zdawał się zapowiadać erę demokracji i wolności, a tem samem odłam socjalizmu, wysuwający te hasła, zdawał się mieć otwartą drogę do dalszych sukcesów. Kilka miesięcy Kiereńszczyzny wystarczyło, ażeby demokratyczny i wolnościowy porządek rzeczy pogrzebać na nowo w Rosji i ujawnić radykalną niezdolność demokratycznego odłamu socjalizmu do sprawowania rządów wielkiego kraju w okresie rewolucyjnym.

Poza Rosją jednak idea demokratyczna przejściowo tryumfowała wskutek klęski państw centralnych i ich sprzymierzeńców, w czem jednak socjaliści nie mieli żadnej zasługi. Niemniej jednak w Niemczech, Austrji i Węgrzech socjaliści—wskutek katastrofy dawnego porządku państwowego—znaleźli się w posiadaniu pełni władzy. Jakiż był rezultat ich rządów? Na Węgrzech socjaliści bez oporu skapitulowali przed bolszewizmem i podzielili jego żałosny koniec. Djametralnie przeciwną drogę obrali socjaliści niemieccy, ale w obronie republiki demokratycznej przed zamachami komunistycznemi musieli korzystać z pomocy całego obozu reakcyjnego. Krwawe walki w latach 1919 i 1920 były prowadzone ze strony rządu socjalistycznego wyłącznie za pomocą resztek dawnej armji oraz organizacyj bojowych, stworzonych przez nacjonalistów. W rezultacie komuniści zostali zmiażdżeni, ale socjaliści skompromitowani niesłychanemi skandalami w czasie piastowania władzy — dość przypomnieć aferę Barmata, w której maczał ręce sam kanclerz Rzeszy, Bauer — zostali odsunięci od rządów, a miejsce ich zajęli zdecydowani reakcjoniści. Wybór królewsko - pruskiego generała-feldmarszałka i naczelnego wodza Niemiec cesarskich, Hindenburga, na prezydenta Rzeszy przypieczętował bankructwo polityczne najsilniejszej partji socjalistycznej na kontynencie europejskim. Dziś Niemcy dojrzały w zupełności do restauracji monarchicznej, a jedynie sytuacja międzynarodowa opóźnia tryumfalny powrót Hohenzollernów do Berlina a Wittelsbachów do Monachjum. Z momentem, kiedy wojska ententy opuszczą Nadrenję—republika niemiecka będzie skończona. Równolegle do reakcji politycznej szła w Niemczech odbudowa gospodarcza na gruncie skrajnie kapitalistycznym, której koszta musiała płacić przedewszystkiem klasa robotnicza. Ta odbudowa kapitalizmu niemieckiego, związana z planem Dawesa, była gorąco popierana przez niemieckich pseudomarxistów z obozu socjaldemokratycznego. Świeża znaczna podwyżka ceł na produkty rolnicze w kraju o charakterze wybitnie przemysłowym, jak Niemcy, unaocznia zupełną przewagę reakcji nacjonalistyczno-agrarjuszowskiej.

Ze wszystkich państw, zwyciężonych w wojnie światowej, tylko w małej Austrji socjaliści zdołali wyjść z kryzysu rewolucyjnego względnie obronną ręką i zachować poważne czynniki siły w swych rękach. Ale i tam zostali od władzy w państwie odsunięci i musieli tolerować restaurację kapitalistyczną pod egidą Ligi Narodów, choć ta podobnie, jak w Niemczech i wszystkich krajach świata, dokonała się kosztem mas pracujących. Trzeba jednak uznać, że ze wszystkich partyj socjalistycznych świata austrjacka okazała najwięcej zmysłu politycznego, poczucia rzeczywistości, wolności tak od ciasnego doktrynerstwa, jak od krótkowzrocznego oportunizmu. Socjalizm austrjacki ma to do zawdzięczenia w pierwszym rzędzie osobistości swego przywódcy, d-ra Ottona Bauera, wybiegającej wysoko ponad poziom miernot, nadających ton w partjach socjalistycznych doby powojennej niemal we wszystkich krajach.

Przejściowy tryumf socjalizmu w państwach neutralnych był dzieckiem klęski wojennej i skończył się wraz z rozpoczęciem odbudowy politycznej, militarnej i gospodarczej tych państw. Ale także w państwach zwycięskich wzrost socjalizmu po wojnie był związany ściśle z uczuciami depresji i znużenia, będącemi naturalną reakcją po bezprzykładnych wysiłkach i ofiarach w czasie wojny. Tak było we Włoszech w latach 1919 i 1920, we Francji w latach 1924 i 1925, w Anglji w latach 1922 i 1923. Iluzje pacyfistyczne, bardzo rozpowszechnione bezpośrednio po zawarciu pokoju, sprzyjały bardzo hasłom, głoszonym przez socjalistów. Te same czynniki działały także w państwach neutralnych, oszczędzonych wprawdzie przez okropności wojny, ale pośrednio odczuwających bardzo silnie jej następstwa, zwłaszcza w dziedzinie ekonomicznej. Pomimo to we wszystkich krajach, w których partje socjalistyczne brały udział w rządach bądź same, jak w Anglji w r. 1924, w Szwecji, w Danji, Finlandji i Łotwie, bądź w koalicji z partjami burżuazyjnemi, jak w Belgji, Czechosłowacji i Polsce, albo wywierały wpływ stanowczy na rząd, jak we Włoszech w latach 1919 — 1921 lub Francji w latach 1924 — 1926, nigdzie nie zdołały one osiągnąć trwałych rezultatów lub zgoła zainicjować przemianę ustroju kapitalistycznego na socjalistyczny. W Anglji gabinet Macdonalda zaznaczył się tylko niefortunnym pomysłem Protokułu genewskiego, tworu martwego już w chwili narodzenia, oraz uznaniem Sowietów de iure. W Szwecji rządy socjalistyczne niczego się bardziej nie wystrzegały, jak wszelkich prób socjalizacji, tak samo rząd Stauninga w Danji, który natomiast zapisał się w dziejach swego kraju projektem zupełnego rozbrojenia, innemi słowy—wy-

dania Danji bezbronnej na łup pierwszego napastnika, chcącego zawładnąć dostępem do Bałtyku. Ta polityka samobójcza, zdezawuowana na szczęście przez wyborców, ma godny odpowiednik w polityce zewnętrznej obecnego gabinetu łotewskiego, której konsekwencją może być tylko uczynienie Łotwy bezbronną wobec Rosji sowieckiej. W Belgji, Czechosłowacji i Polsce (za gabinetu Skrzyńskiego) partje socjalistyczne odegrały rolę nieświetnych sekundantów stronnictw burżuazyjnych i musiały uprawiać politykę, jak najbardziej sprzeczną z fundamentalnemi zasadami socjalizmu. Jedyne koncesje, jakie burżuazja była gotowa czynić swym pomocnikom socjalistycznym, dotyczyły obrony kraju, poświęconej w różnych państwach mrzonkom pacyfistycznym. *Tadeusz Wałek-Czernecki*

d. n.

Rocznica zmiany Konstytucji

I.

Niepostrzeżenie minął dzień 2-go sierpnia — rocznica pierwszej i jedynej dotąd zmiany Konstytucji 17 marca.

Może nic w tem dziwnego. Od maja roku zeszłego wola Marszałka Piłsudskiego jest niezaprzeczenie jedynym świadomym polskim czynnikiem politycznym, który wpływa na bieg wypadków. Wszystkie inne świadome czynniki polskie odsunięte zostały w cień, a chwilowo wręcz zeszły do roli pasażerów, gorączkowem krzątaniem się w biegnącym pociągu usiłujących wywołać wrażenie, że i oni też coś znaczą. Nadewszystko też czynniki te unikają wyraźnego przeciwstawienia się Marszałkowi, słusznie przewidując niechybnie ujemny dla siebie wynik takiej próby sił (unikanie przez Sejm votum nieufności względem Rządu jako całości mimo bezceremonjalnego — acz legalnego—traktowania ulicy Wiejskiej przez ten Rząd) Czyżby mniemano, że wszystko jedno, co Rządowi czynić *wolno*, skoro *może* czynić wszystko?

A jednak, zważywszy na wyraźnie legalistyczne stanowisko, zajęte przez Marszałka Piłsudskiego z chwilą zrzeczenia się urzędu przez Prezydenta Wojciechowskiego, stanowisko przestrzegane nadal ściśle przez obecnego faktycznego dyktatora Polski — sprawa granic prawnych, jakie zakreśla Konstytucja dla działalności Rządu, jest rzeczą wcale ważną. Jest tem ważniejsza, że przecież dzisiejsze rządy *Wielkiego Polaka* mają właśnie na celu taką naprawę charakteru moralnego naszego społeczeństwa i naszych urządzeń, aby *przeciętni Polacy* potrafili lepiej rządzić swem Państwem, niż to czynili przed majem r. 1926. A w takim razie Konstytucja — prawo zasadnicze, prawo praw, stanowione nie dla jednego człowieka, ani dla jednego pokolenia—nabiera szczególnego znaczenia, którego nie powinna przed nami zasłaniać odbywająca się obecnie pod rządem Marszałka Piłsudskiego dodatnia przemiana w naszem życiu państwowem i narodowem.

Sprawa całokształtu reform ustrojowych, których potrzebę unaoczniła nasza 9-letnia praktyka państwowa na tle prawno-politycznego rozwoju świata zachodniego, wymaga osobnych uwag szczegółowych. Tutaj chcielibyśmy jedynie podkreślić rolę ustawy z 2-go sierpnia r. 1926.

Niepohamowanym zwolennikom wielkich zmian, z lekkiem sercem potępiającym zasady całego ustroju państwowego z powodu wad w jego szczegółach — wad niezmiernie ważnych, czasami groźnych, lecz dających się usunąć bez podważania zasad naczelnych ustroju — zdawało się, że zmiana sierpniowa jest bez znaczenia.

Tymczasem rok ubiegły wykazał, że reforma ta pod pewnemi ważnemi względami dała Rządowi prawną swobodę działania w takim stopniu, iż mógł on (będąc do tego zdolnym faktycznie) pracować twórczo i umacniać powagę swoją, jako instytucji — bez potrzeby uciekania się do łamania prawa, czego przecież unikał stale, rozumiejąc, że postąpienie wbrew prawu bywa czasami smutną koniecznością, wyzwalającą twórcze siły narodu (tak się stało w maju), że jednak zdrowie moralne Narodu wymaga, aby natychmiast po tym czynie życie ujęte zostało w ramy prawne.

Konstytucja winna stwarzać ramy prawne, umożliwiające swobodne rozwinięcie sił tym czynnikom, które do rządzenia z natury swej są przeznaczone. Nasza Konstytucja w wydaniu 17 marca nie odpowiada temu zasadniczemu wymaganiu, o ile chodzi o stosunek władzy wykonawczej do ustawodawczej. Żywotnym siłom Narodu pozostawiała w tej najważniejszej, bo zagadnienia Rządu dotyczącej, dziedzinie takie drogi prawne, na których siły te musiały nieprodukcyjnie marnować się. Właściwy ośrodek kierownictwa państwowego — jednoosobowa Prezydentura wespół z nielicznym Rządem — pozbawiona była możności rządzenia. Liczne pseudo-demokratyczne klauzule gwarantowały Sejmowi władzę absolutną. Nie dawały one Prezydentowi i Rządowi środków legalnych, za pomocą których mógłby zrealizować wypowiedzianą pozornie w Konstytucji zasadę odpowiedzialności Sejmu przed wyborcami. A tak, czyniąc Sejm nieodpowiedzialnym — pozbawiały go jedynego bodźca, któryby mógł przywrócić przytomność grupom i grupkom partyjnym, zacietrzewionym w walce o drobne wpływy i korzyści, i wprowadzić Sejm na drogę obowiązku państwowego.

Konstytucja nasza fundować miała rząd parlamentarny. Lecz autorzy jej nie poszli, niestety, za wytworzonym historycznie w Anglji wzorem klasycznym, którego założenia należało do warunków naszych przystosować i rozwinąć w duchu wzmocnienia władzy rządowej, co odpowiada zarówno historycznej już potrzebie silnego Rządu w Polsce, jak wewnętrznej logice rozwoju klasycznego parlamentaryzmu, poprzez równowagę pomiędzy władzą wykonawczą i prawodawczą nawracającego ku wyraźnej — acz już w formie zgodnej z zasadami demokracji — faktycznej przewadze Rządu nad parlamentem (w obliczu wyborców!), a to dzięki temu, że nad zmiennym nastrojem kuluarów parlamentarnych ciąży coraz bardziej wola społeczeństwa, do którego odwołanie się przysługuje jedynie głowie Państwa wespół z Rządem. Zwłaszcza w dobie związków gospodarczych i zawodowych Rząd uczy się coraz lepiej porozumiewać się i współpracować ze zorganizowanem społeczeństwem — bez pośrednictwa posłów. Nie są to już rządy parlamentu, lecz parlamentarne, ściśle — gabinetu.

Autorzy Konstytucji naszej poszli za francuskim wzorem parlamentaryzmu, wzorem ułomnym, wypaczonym, bo nacechowanym przewagą parlamentu nad Rządem, który kroczy w ogonie Izby Deputowanych. Ale Francja posiada inne walory — jak starą administrację, wysokie wartości społeczne — których nam w początkach odrodzonej Rzplitej musi brakować. Stąd też to, co Francji uchodzi do czasu, nam musiało wybitnie zaszkodzić.

Dążenie obu polskich obozów politycznych (lewicy i prawicy) do tego, aby osłabić władzę państwową wszędzie tam, gdzie mogła ona działać na szkodę danego obozu, odziedziczona po niewoli, samobójcza we własnem państwie obawa społeczeństwa przed wszelkim Rządem i nieuzasadnione traktowanie posłów, jako rzekomo jedynych obrońców dobra Narodu — nie mówiąc o nader ważnym czynniku, zaognionej sprawie społecznej, ani o czynniku niedocenianym, wciąż jeszcze pokutującej atawistycznej obawie przed rodzimem absolutum dominium — oto przyczyny, pod których działaniem Sejm Ustawodawczy obdarzył nas Konstytucją, zawierającą cień Rządu obok przytłaczającej go — wbrew intencjom autorów bezsilnej — bryły, Sejmu.

Należeliśmy do rzędu tych, którzy przestrzegali przed takim wynikiem prac naszej konstytuanty. Potem przyłączyliśmy swój głos do krytyki dokonanego dzieła, podjętej za przykładem profesora Jaworskiego. W marcu r. 1924, gdy społeczeństwo pod urokiem postępującej poprawy

finansowej zapominało o wadach ustroju państwowego, pisaliśmy („O reformę Konstytucji“ Sprawy Polskie № 3), domagając się usunięcia tych przeszkód prawnych, „które politykom naszym — dalekim od doskonałości — nie pozwalają na przezwyciężenie absolutyzmu słabego Sejmu i stworzenie silnych rządów parlamentarnych“ — że bez tych zmian Konstytucji „nawet ludzie dobrej i silnej woli nie potrafią rządzić skutecznie Rzplitą. Z niemi zaś będą mieli wolne ręce do walki ze słabością i złą wolą innych“. „Dzisiaj sytuacja nie jest tragiczna, ale w każdym razie poważna, a może staje się groźna“.

Niestety, dopiero gdy stała się groźna, przystąpiono do reformy — po cięciu miecza.

St. A. Groniowski

Recenzje i Sprawozdania

„Sprawy narodowościowe“. Czasopismo poświęcone badaniu spraw narodowościowych Nr. 3, maj—czerwiec 1927 r.

Nowy numer interesującego pisma, poświęconego zagadnieniom mniejszości narodowych, nie różni się od poprzednich dwuch numerów. Widzimy w nim tę samą dbałość o dobór materjału, tę samą dalekoidącą objektywność w przedstawieniu faktów, mającą na celu wszechstronne i głębokie ujęcie spraw narodowościowych. Jedyny zarzut, który można postawić temu ciekawemu i pożytecznemu wydawnictwu, jest to, że zbyt może mało poświęca uwagi sprawom mniejszości narodowych poza granicami państwa polskiego, które są tylko omówione w obszernej zresztą kronice.

Stronę teoretyczną zagadnienie narodowościowego reprezentuje ciekawy i wyczerpujący artykuł p. T. Katelbacha, poświęcony *„Pojęciu narodu, jako wspólnoty kulturalnej“*. W artykule tym autor przedstawia tezy uczonego niemieckiego dr. Kellera, streszczające się w określeniu narodu, jako „wspólnoty kulturalnej“, przyczem odsuwające na plan dalszy, a nawet negujące znaczenie czynnika psychicznego w pojęciu narodu. Dr. Keller wprowadza pojęcie „szerokich warstw anarodowych“, w których rad byłby widzieć materjał dla wzmocnienia narodu, który narzuca narodom, stojącym na niższym szczeblu rozwoju, własną „wspólnotę kulturalną“.

P. Katelbach w przeciwieństwie do dr. Kellera uważa czynnik psychiczny za decydujący dla pojęcia narodu. „Dusza narodu“ jest czynnikiem, wyodrębniającym go od innych narodów i nie pozwalającym mu się roztopić we wspólnocie kulturalnej z „Herrenvölk“.

Przeciwko teorji dr. Kellera, która służyć ma zapewne do uzasadnienia politycznych denacjonalizacyjnych metod rządu niemieckiego, występuje, jak referuje p. Katelbach, organ związku mniejszości narodowych w Niemczech, „Kulturwehr“, który widzi w narodzie przedewszystkiem „wspólnotę duchową“.

Przechodząc do konkretnych zagadnień, poruszonych na łamach *„Spraw Narodowościowych“*, wysuwa się na plan pierwszy obszerny artykuł p. Zygmunta Stolińskiego, poświęcony *„Szkolnictwu niemieckiemu w Polsce“*.

Artykuł ten ilustrowany mapami i tablicami, przedstawiającemi stan szkolnictwa powszechnego niemieckiego i polsko-niemieckiego, zestawienie procentu szkół niemieckich do ogółu szkół oraz procentu dzieci niemieckich, dalej stan szkolnictwa średniego, wskazuje najbardziej przekonywującym językiem, gdyż językiem cyfr, jak dalece liberalną politykę szkolną prowadzi względem mniejszości niemieckiej rząd polski. Życzyć należy, aby rozważania p. Stolińskiego dotarły do opinji zagranicznej. Suchy bowiem, zdawałoby się, język p. Stolińskiego daleko wymowniej przemówi do świadomości zachodnio-europejskiej i udowodni jej istotny kierunek myśli politycznej polskiej, niż mesjanistyczno-patrjotyczne poematy ad hoc stwarzane, a mające na celu nawrócenie opinji europejskiej na rzecz Polski.

Również p. L. Wasilewski w artykule *„Istotna liczba Ukraińców w Polsce“* rozpatruje z jaknajwiększą objektywnością dane statystyczne, tyczące się ilości Ukraińców w Polsce, i niezbitemi wprost dowodami wykazuje absurdalność danych przytaczanych przez Ukraińców, dowodzących, że w Polsce zamieszkuje ich 8 miljonów, i twierdzi, że przy najdalej posuniętem życzliwem traktowaniu Ukraińców najwyższa cyfra, jaką można im przyznać, wynosi zaledwie 4.686.000.

Oba te artykuły mogą stanowić wzór należytego i przemyślanego omówienia pewnych zagadnień narodowościowych. Pewne natomiast wątpliwości nasuwa artykuł p. M. Kowalewskiego p. n. *„Spór narodowościowy o Cerkwi prawosławnej w Polsce“*. Autor artykułu zajmuje tu stanowisko zdecydowanie przychylne względem życzeń Ukraińców w dziedzinie języka cerkiewnego, wysuwając na plan pierwszy stronę polityczną zagadnienia, a nie doceniając jego strony dogmatycznej. Niemniej jednak poruszenie tej palącej kwestji na łamach *„Spraw Narodowościowych“* należy uznać za rzecz ze wszech miar pożądaną.

Jeżeli dodamy do tej bogatej części artykułowej obszerną, bo 65 stronicową kronikę, to musimy uznać *„Sprawy Narodowościowe“* za jedno z najciekawszych naszych wydawnictw perjodycznych, godnych jaknajszerszego rozpowszechnienia.

Na marginesie prasy polskiej

Komendant I Brygady Legjonów, Marszałek Józef Piłsudski wygłosił na 6 Zjeździe Legjonistów w Kaliszu wielką mowę, która odbiła się głośnem echem w społeczeństwie. Opierając się na swoich przeżyciach z okresu walk o Niepodległość i późniejszych, gdy był Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem—ukazał społeczeństwu prawdę straszną i tragiczną, ponure widmo niebezpieczeństwa, zagrażające niepodległemu bytowi i samodzielności Polski: pracę obcych agentur na szkodę naszego państwa. Powołując się na dokumenty, które w swem ręku posiada, stwierdził udział Polaków w pracach obcych agentur, udział, który trwa do chwili obecnej, i — jako wielki wychowawca swego Narodu — wezwał najbliższych sobie i najbardziej mu oddanych do walki z tą plagą współczesnego życia polskiego. Mowa ta spowodowała wielkie poruszenie w prasie. Wszystkie bodaj pisma—nawet zwalczające obecny Rząd i jego Szefa — umieściły o tej mowie krótsze lub dłuższe wzmianki i komentarze, doceniając jej głębokie znaczenie dla społeczeństwa. Między innemi refleksem końcowego ustępu z mowy Marszałka jest zakończenie artykułu wstępnego *„Warszawianki“* z dn. 9 sierpnia r. b.:

„Dziś więcej niż kiedykolwiek potrzeba nam tego Ducha, który ożywiał bojowników za Polskę, aby odzyskaną wolność na zawsze utrwalić, potrzeba, abyśmy pamiętali, *że w sprawach świata tego najpierw jest Polska, a potem wszystko inne“*.

Jak zwykle, w sposób niepoważny i przesycony jadem nienawiści omawia tę mowę *„Gazeta Poranna Warszawska“*. Znana ze swych niepoczytalnych wystąpień urządziła ona w dn. 8 sierpnia r. b. typowo błazeński popis, zaopatrując poszczególne części mowy Marszałka Piłsudskiego w podtytuły, jak, *„Krzyk i praca mówienia“*, *„Działania muchy“*, *„Odludki i popstrzeni ludzie“* i t. p. Z uporem manjaka stosuje się tam metodę błazeńskiego przedrzeźniania pewnych form zewnętrznych, w wiecznej pogoni za ośmieszaniem rzeczy choćby tragicznych i bolesnych wynajduje się płaskie dowcipy, które mają utożsamiać największą mądrość polityczną. A do wniknięcia w głąb tych słów, co targają sumieniem Narodu i ukazują groźne niebezpieczeństwa — brak chęci czy... odwagi.

W tym samym charakterze utrzymany jest również artykuł tego pisma z dn. 9 sierpnia p. t. *„Zgrzyty“*:

„...Z największą sympatją powitalibyśmy słowa p. Piłsudskiego, zapowiadające zdecydowaną walkę z tajnemi agenturami i agentami obcych i wrogich Polsce sił i organizacyj“...

„Ale tych słów w mowie kaliskiej niema. Jest natomiast gorszące i niezgodne z faktami postawienie w jednym rzędzie społeczeństwa polskiego i owych „agentur“, jako czynników, które odniosły zwycięstwo nad ideą legjonów w czasie wielkiej wojny i które następnie pracy p. Piłsudskiego kładły przeszkody na drodze, paraliżując ją lub unicestwiając“.

Przecieramy oczy ze zdumieniem: skąd te rzeczy zostały wzięte, boć z pewnością nie z mowy Marszałka. Jedno z dwojga: ten, który to napisał, albo nie czytał zupełnie mowy, której krytykę podjął, albo też zupełnie świadomie bierze rozbrat z prawdą, przedstawiając wszystko swym czytelnikom inaczej, niż jest w rzeczywistości. Ale wniosek jest tylko jeden: zarówno pierwsza, jak i druga alternatywa dyskredytują całkowicie zarówno pismo, jak i autora tego elaboratu.

CENA OGŁOSZEŃ:

1 strona	zł. 400.—
1/2 „	„ 220.—
1/4 „	„ 120.—
1/8 „	„ 60.—

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy Świat 21, tel. 258-53.
Konto P. K. O. — 13.044

CENA PRENUMERATY:

Rocznie	zł. 12.—
Półrocznie	„ 6.—
Kwartalnie	„ 3.—

Nakładem Związku Naprawy Rzeczypospolitej

Redaktor odpowiedzialny: *Marjan Brasse*

Drukarnia Leona Nowaka, Warszawa, Warecka 12.